Ner. 9. Kraków 24 listopada 1866. Rok I.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.— Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna* bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a. Nuty rocznie 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a. *W Krakowie* prenumerować można w biórze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha. *We Lwowie* można prenumerować i odbierać w ajencyi Hereoka i Arnolda na Halickiém. *W Poznaniu* w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

(Ciąg dalszy.)

Po odejściu Konstancyi Jan jeszcze jakiś czas zabawił przy chorym, czekając aż się przebudzi. Potém rozmawiał z nim trochę, pocieszał go nadzieją prędkiego wyzdrowienia i wolności.

— Wolałbym, żeby mi odjęto nogę — mówił brat Konstancyi — choć o szczudle, byle co prędzéj iść bić, to bezczynne leżenie mnie męczy, trwoży mnie ta myśl, że tu lada chwila wpadną Moskale i dobiją mnie. To byłoby okropnie zginąć w dziurze jak tchórz.

— Jutro w nocy napadamy na miasteczko, kilku zrobi fałszywy alarm od północy, Moskale tam uderzą, a my tymczasem napadniemy na więzienie i uprowadzimy więźniów.

— A mnie tu zostawicie? —

— Siostra czuwa nad tobą — w chwili napadu czterech ludzi wyniesie cię za miasto, mamy dla ciebie bezpieczne schronienie w lesie.

— Mniejsza o schronienie, choćby paść od kuli, byle nie tu. Ja nie miałem w życiu innego pragnienia, tylko umrzeć, ale umrzeć na polu walki — za Polskę.

— Nam trzeba zwyciężać za nią — inaczéj źle będzie.

— Jak stoi powstanie?

— Niewiem — komunikacyje są poprzerywane wojskami. Słychać, że jakiś znaczniejszy oddział naszych zbliża się w te strony — toby nas poratowało, rozproszonym wróciłaby odwaga.

— Wielu was jest teraz?

— Zaledwie dwódziestu. Czas mi wracać do nich — w mieście już zrobiłem swoje.

Pożegnał chorego i wyszedł na ulicę niepostrzeżony przez nikogo. Minął kościół, koszary i wszedł w ulicę prowadzącą za miasto. Ulica była w téj chwili pusta, tylko jakiś pachołek sądowy siedział przed szynkiem. Ten pachołek spojrzał najprzód na psa, potém samemu przechodzącemu Janowi przypatrzył się uważnie. Jana zmięszał ten badawczy wzrok (pachołka owego znał we dworze ojca Anny, gdy ten przychodził z różnemi papierami od rządu) — dla tego też uszedłszy kilkanaście kroków zatrzymał się i niby schylając się po coś ku ziemi, zérknął nieznacznie okiem za siebie. Pachołek szedł za nim i widocznie go śledził, nawet przyspieszył kroku. Jan widział że jest poznany, przewidywał grożące mu niebezpieczeństwo, bo pachołek widocznie dla tego spieszył się, by go zdać przed żołnierzami, stojącymi przy rogatce i kazać go aresztować. Skręcił więc w bok w małą uliczkę, ciągnącą się między parkanami ogrodów. Pachołek nie spuszczał go z oka, na każdym zakręcie Jan oglądając się, widział go za sobą — widział, że wymknąć się z miasta, było niepodobieństwem; wrócić do miasta, było również niepodobieństwem, bo pachołek nieochybnie zda go żołnierzom. Przy jednym więc zakręcie przesadził parkan i zniknął w ogrodzie. — Mera została z drugiéj strony szczekając. — Był to już największy czas do ucieczki, w téj chwili bowiem ukazał się w ulicy patrol z kilku żołnierzy — z którym pachołek spotkawszy się, począł coś żywo opowiadać i pokazywał na parkan i na psa. Jan patrzący na to wszystko przez szpary w parkanie,

nie sądził się tu bezpiecznym, skoczył więc do sąsiedniego ogrodu, ztamtąd do następnych, aż zmęczony zatrzymał się w jednym. Słyszał krótkie urywane szczekanie Mery, Moskale użyli przywiązania psa za denuncyjanta i szli za tropem. Zapadający zmrok był na rękę kryjącemu się. W domach już pozapalano światła. Jan podsunął się cicho pod jedno okno i zajrzał w głąb. W niewielkim pokoiku siedział jakiś starzec dziwacznie ubrany, łysy — garstka siwych włosów bezładnie spadała na wytarty, stary szlafrok. Starzec siedział układając papiery i robiąc dziwne grymasy twarzą; obok niego siedziała jakaś kobieta czarno ubrana, zamyślona mocno. Gdy zwróciła twarz ku światłu, Jan poznał w niéj Konstancyją. Był więc w ogrodzie burmistrza — to go zaniepokoiło, bał się, by kto z domowników nie zobaczył go, bo wtedy byłby pewnie wydany. — Po krótkim namyśle uderzył lekko w okno. Konstancyja wstała, zbliżyła się do okna i zasłaniając się ręką od światła, usiłowała zobaczyć kto puka. Jan dał jéj znak ręką — uchyliła okna.

— Pan tu? — spytała cicho z zdziwieniem.

— Szukają mnie.

— Co tu począć? —

Namyślała się chwilę — potém rzekła:

— Tu może byłbyś pan bezpieczniejszy niż gdzindziéj — tu szukać nie będą. Wejdź pan.

Jan wskoczył oknem do pokoju — dziwiło go, że starzec ani się obejrzał, ani przerywał swéj roboty. Konstancyja domyśliła się powodu jego zadziwienia.

— To mój ojciec — obłąkany — rzekła — nie będzie uważał na pana, tylko się nic nie odzywaj do niego.

Spuściła storę i wskazała Janowi stołek stojący między szafą i stolikiem w kącie.

W téj chwili odezwało się parę głosów, powtarzających jéj imię. — Konstancyja pobladła.

— To Kryłow musiał przyjść — idę na męczarnie. Boże, co się stanie ze mną. — Siedź pan tu i nieoddalaj się — nikt tu nie wejdzie prócz mnie.

To rzekłszy, wyszła spiesznie z pokoju.

Jan siedział obok starca i w milczeniu przypatrywał się jego zajęciu.

Obłąkany układał różne stare szpargały, zapisane drobném pismem. Były to przeróżne proroctwa, odezwy, marsze, które starzec spisywał lub wypisywał. Ułożywszy to wszystko porządnie, począł mruczeć przez zęby:

— Testament powie, co komu. Niech mają, aż się spełni. Sybilla daje wróżby — niech lecą liście po świecie.

Tu nadął obłąkany oba policzki i dmuchnął silnie w kupę papierów, które się rozleciały na wszystkie strony. Jeden z tych upadł na rękę Janowi. Machinalnie rzucił nań okiem — uderzyło go znane mu nazwisko R., było to nazwisko Syberyjczyka. Wziął papier w rękę i uważniéj przypatrywać mu się zaczął. Był to rewers na 100,000 złp. wystawiony przez brata syberyjczyka. Na rewersie było oprócz jego nazwiska jeszcze nazwisko obłąkanego. Jan zastanowił się, dla czego syberyjczyk nigdy nie wspomniał mu o tém; domyślając się ważności tego dokumentu, złożył go i schował.

Tymczasem w salonie odbywała się straszna scena. Kryłow z kilkoma oficerami w paradny mundur ubrany, oczekiwał przybycia narzeczonéj; gdy ją zobaczył wchodzącą w zwykłym ubiorze, nie zdradzającym wcale przedślubne przygotowania, poczerwieniał ze złości, potém rozśmiał się szyderczo i rzekł do burmistrza:

— A co? — nie powiedziałem? To była łapka na moją dobroduszność. Pannie zachciało się choć dwa dni życia przyczynić Laszkowi i otumaniła mnie chęcią ślubu. Petrow! — rzekł obracając się nagle do oficera: wyprowadzić więźnia i natychmiast powiesić.

— Ciemno jest już kapitanie.

— Zapalić szopę za miastem — aby namacać szyję i założyć stryczek, nie trzeba wiele światła. — Powiesić w siej czas.

— Kapitanie — rzekła Konstancyja drżącym głosem, jestem mocno cierpiącą, to był jedyny powód, dla którego chciałam odwlec ślub. Jeżeli ci się wydaje małoważnym —

— Owszém, wasze zdrowie ja szacuję. Ślub się odwlecze, co i mnie na rękę, bo będę mógł spełnić wyrok dziś, jak stoi w rozkazie. Szubienica za miastem czeka.

— Czy wszystko już przygotowane do ślubu? — spytała pospiesznie Konstancyja. —

— Wszystko — wyjąwszy pani — rzekł Kryłow, patrząc na nią badawczo, z ironiją.

— Za chwilę będę gotową — wyrzekła słabym, ledwie dosłyszanym głosem — i wyszła.

W godzinę potém Konstancyja została żoną Kryłowa — wyprosiła tylko sobie, by ją przez parę dni zostawił jeszcze w domu wujostwa.

Na drugi dzień po ślubie obchodzono szumnie imieniny generała — żołnierze popili się i leżeli jak bez duszy. Oficerowie także się spili, tylko nie wódką jeno winem; między żołnierzami a oficerami była tylko różnica trunku — skutek ten sam.

Wieczorem, kiedy resztki illuminacyi dopalały się w oknach miasteczk — odezwały się za miastem kilkakrotne strzały. Potrwożone żołdactwo zerwało się na nogi, poczęło się mięszać w bezładzie, szukać broni, ubrania — i dopiero po półgodzinnéj zwłoce zdołało uszykować się przed koszarami, zkąd ruszyło w stronę, gdzie strzały słyszeć się dały.

Jak wiemy, był to fałszywy alarm. — W chwili, gdy wojsko pobiegło naprzeciw mniemanemu nieprzyjacielowi i ogołociło miasto — jakiś człowiek wysunął się z ciasnéj uliczki, prowadzącéj koło więzienia, czając się koło muru, zbliżył się do szyldwacha i rzuciwszy się na niego,

chwycił go naraz tak silnie za gardło, że krzyczeć nie mógł. Niezadługo wybiegło kilku innych, otworzono drzwi więzienia i wypuszczono więźniów na wolność. Napadający i uwolnieni co prędzéj cofnęli się przez płoty i ogrody za miasto. Jeden tylko August ponury stanął we drzwiach więzienia i opierał się.

— Spiesz się, za chwilę wojsko wróci z wycieczki, a wtedy zginiesz — rzekł do niego jakiś młodzieniaszek dźwięcznym głosem.

August machnął ręką obojętnie —

— Mniejsza o to.

— Auguście — odezwał się ten sam głos z prośbą i drżeniem.

August zdziwiony, spojrzał na mówiącego i rzekł:

— Kto ty jesteś, ja znam twój głos.

Młody człowiek widocznie nie chciał być poznanym, bo odwracał twarz w przeciwną stronę, tylko naglił niecierpliwie Augusta do ucieczki.

— Nie, ja tu zostanę — ja ją muszę widzieć choćby dla tego, aby jéj powiedzieć, że jest podłą.

Nieznajomy młodzieniec jęknął boleśnie.

— O! to okropnie! zawołał i zasłonił twarz rękami. Auguście, jak ty mi uwłaczasz.

August zbliżył się do mówiącego i rzekł osłupiały z zadziwienia:

— Konstancyja! — Więc to nie prawda, żeś ty żoną Kryłowa?

— Nie mów mi o tém, bo będę ci musiała powiedzieć, że dla ocalenia ciebie splamiłam się tém nazwiskiem.

— Dla mnie — o! teraz żyć pragnę — zawołał z uniesieniem August — uciekajmy, ja chcę żyć.

— Już późno — rzekła smutnie Konstancyja — patrz, żołnierze otaczają nas, umrzemy razem — dobrze?

Zbliżyła się i oparłszy głowę na jego piersiach, czekała spokojnie chwili skonu.

August przytulił ją do piersi i chciał na jéj czole złożyć pocałunek, gdy grad kul moskiewskich zwalił ich z nóg. August został raniony w piersi — żołnierze zbliżyli się, aby go dobić. Wtedy Konstancyja z ostatniém wysileniem podniosła się na pół z ziemi, chwytała rękami bagnety moskiewskie i zasłaniała sobą Augusta, aż zmęczona, pokrwawiona, osłabiona upływem krwi, spuściła bezwładnie głowę na jego piersi. Żołnierze stali chwilę jakby zaczarowani tą sceną; — wtém przybiegł Kryłow.

— Czego stoicie, mordować bez pardonu.

Błysnęły bagnety i utonęły w piersiach kochanków. Kryłow zbliżył się przypatrzyć trupom i cofnął się przerażony — nie miał już żony.

Reszta zaś uwolnionych więźniów szczęśliwie uszła z miasta, cofając się ku lasowi. Kiedy mijali wioskę, Marcin rzekł do Jana:

— Muszę iść zobaczyć żonę i dziecko — kto wie kiedy ich zobaczę znowu.

— A jak Moskale cię złapią? —

— Nie. A trudno mi przenieść na sobie, bym przeszedł i nie wstąpił.

To powiedziawszy, odłączył się od garstki i ścieszką między stawami poszedł do swego mieszkania. W chacie widać było światło, ale było cicho, nie słyszał ani płaczu dziecka, ani śpiewki żony, którą dziecko usypiała. Może już usnęło. Serce zaczęło bić z radości Marcinowi, podsunął się pod okno i zajrzał w głąb chaty.

Na dwóch stołkach zwróconych ku sobie leżała z deszczek niemalowanych zbita mała trumienka, w niéj siny trupek dzieciny — obok trumienki siedziała Tereska z założonemi na kolanach rękami i patrzyła przed siebie wzrokiem szklannym nieruchomym.

Marcinowi zbezwładniały nogi na ten widok — łzy zakręciły się w oczach. Zacisnął zęby z boleści i wszedł do izby. Długo patrzał na trumienkę — może modlił się, może złorzeczył myślą — potém wstał, pocałował żonę i zabierał się do wyjścia.

— Idziesz znowu? — spytała Tereska.

— Moskale gonią nas.

— Kiedyż wrócisz? —

— Bóg to wie — może nigdy.

Tereska zaniosła się od płaczu.

— Niech cię Bóg ma w swojéj opiece — rzekł i wyszedłszy z chaty, pospieszał za swoimi. Dogonił ich wśród lasu, gdy już dniało. Trzeba było spocząć i wytchnąć troszkę. Teraz dopiero z świtającym dniem rozpoznawali się więźniowie i ich wybawcy. Maurycy poznał między tymi ostatnimi syberyjczyka — zbliżył się do niego i dziękował mu za swoje ocalenie.

— Nie mnie, ale jemu dziękuj — rzekł tenże pokazując na swego towarzysza.

Maurycy wrócił się w tę stronę ze słowem dziękczynném — nagle urwał, zmięszał się — zobaczył bowiem Jana. Człowiek, którego on nienawidził, był jego wybawcą, musiał mu być wdzięczny — choć przez grzeczność. Zaczął więc silić się na jakie takie podziękowanie. Jan odwrócił się od niego pogardliwie i rzekł:

— Nie dziękuj pan — nie dla pana to zrobiłem.

(Ciąg d. nast.)

Tylko wspomnienie.

Kiedy mam duszę smutną jak w żałobie,
Kiedy mi tęskno bez ciebie i nudno,
To idę wtedy gdzie w ustroń odludną,
Na mokrych oczach kładę dłonie obie,
I przypominam urok każdéj chwili,
Kiedyśmy jeszcze razem z sobą byli.

I najprzód widzę cię pod świerków cieniem
O szarym zmroku, kiedym się nieśmiele
Pierwszy raz rączki twéj dotykał z drzeniem,
I nic nie mówiąc — mówiłem tak wiele.

Od onéj chwili myśli i źrenice
Poszły za tobą jak dwie niewolnice,
Lub jak cień wierny, co idzie za człekiem,
I dzień bez ciebie wydawał się wiekiem.

Pamiętam — nieraz tęsknotą trapiony
Wieczór skradałem się pod twe okienko,
I tam liściami róży zasłoniony,
Patrzałem jak ty wsparłszy główkę ręką
Siedziałaś sama w dumaniu głębokiém —
O czém ty wtedy dumałaś i o kim?

Potém szłaś w pokój, gdzie było posłanie,
Jam nie odchodził patrząc, czy nie zoczę
Przez uchylone nieco drzwi — na ścianie
Choć cień twych rączek plotących warkocze.

Jakież w tych chwilach uroki, rozkosze!
Jak relikwie wszystkie w piersiach noszę,
Jak skarby chowam takich chwil nie mało,
Bo prócz tych wspomnień, nic mi nie zostało.

Poszedłem — zwiędły kwiaty w waszym dworze,
Co się naszemu szczęściu przyglądały,
Drzewa i ścieszki śnieg zasypie biały —
Wszystko się zmieni — i twe serce może —
Jakże mi smutno i ciężko — o Boże! —

Elfidon. — Bodurek?

Manon Philippon Roland.

(Życiorys.)

(Ciąg dalszy.)

Za powrotem do domu szło znowu swoim trybem dawne życie, surowe, pilne, czynne. Z kolei nauka i zajęcia domowe, od Plutarcha szła do dzieł religijnych, od jeometryi do muzyki, od muzyki do rytownictwa. W takiém życiu *Manon* dochodzi 19go roku. Nic się nie zmienia w około niéj, ale w niéj zachodzą zmiany. Czasami ogarnia ją jakaś nieokreślona melancholia, któréj sobie nie broni, i zdaje się jéj, że to tęsknota za nieobecną przyjaciołką. Ale wkrótce powraca wesołość, radość z uczucia sił młodości i niewinności zwycięża znudzenie, odzyskuje spokój i równowagę. „Znajduję w religii pewną drogę do szczęścia, poddana jéj przepisom, żyję szczęśliwą; opiewam mojego Boga, moje szczęście, moją przyjaciołkę, chwalę ich na gitarze mojéj, nakoniec cieszę się sama sobą“. Była to u niéj dopiero pierwsza doba rozkwitającéj wiosny serca. To też powstaje pewna rzewność, mniéj rozprawiająca jak dawniéj, unikająca zewnętrznych okazów, bo serce żywiéj bić poczęło, więc boi się, żeby się cieniem jakimś, lub jakiemś echem nie zdradzić. Jest to zapłoniona jutrzenka zwiastunka słońca; nadeszła chwila rajskich uroków, pierwszéj miłości. Przyjaźń, która wypełniała dotąd potrzeby jéj duszy — nie przerywa się, owszem potęguje, bo miłość potrzebuje jéj i nadaje jéj tylko gorętszy koloryt. Ta pierwsza miłość była dla niéj czarem — zanim się stała zwodniczą ułudą, która minęła i przepadła jak błędny ognik. Dzieje téj miłości odbywają się więcéj wewnątrz serca dziewczyny, domagało się ono praw swoich, ale jeszcze rej wodziła rozmarzona i płonąca główka. Toż kiedy przyszło oblać się zimną wodą, charakter naszéj *Manon* skorzystał na tém i shartowniał o jedno doświadczenie, umocniła się jéj moc i panowanie nad porywami serca, które wyszło z téj próby czyste i świeże jak dotąd; bogate i rozbudzone ale podległe. Potrzeba jéj było odbyć tę szkołę, zanim, przez śmierć matki zupełnie sobie saméj miała być zostawioną. Była to próba jéj sił; zdała egzamin dojrzałości zanim samodzielnie wystąpiła w życie.

Posłuchajmy co o tém mówią pamiętniki i listy. W pamiętnikach pisanych już po cierpkich doświadczeniach zbywa późniejsza pani *Roland* ten ustęp swojego życia lekko, niby przelotne mgnienie; inaczéj w listach współczesnych: tu widać gorączkę. Z pomocą obydwóch możemy więc przyjrzeć się przebiegowi téj sprawy z blizka i z daleka. „Od chwili, kiedy młoda dziewczyna dochodzi wieku, zwiastującego jéj rozwinięcie, rój pretendentów oblega ją wszędzie, tak jak rój pszczół brzęczy około kwiatu mającego się otworzyć“. Doświadczenie to zrobiła oczywiście i na sobie. Pretendenci zjawiali się tłumnie, ona sobie z tego żartuje; jednak ilekroć dojrzy, że ktoś nią na seryjo zajęty, to ją zastanawia. „Śmieszne jest moje usposobienie, bo czyż może być coś dziwniejszego jak nienawidzić kogoś za to, że nas kocha, a zwłaszcza odkąd ja sama pragnę kochać; jednakże jest tak, maluje ci z natury, co się w mojéj duszy dzieje“. Ci pretendenci byli wszelkiego gatunku i profesyi, był tam i handlarz dyjamentów, i lekarz i student, i kupiec korzenny i cukiernik, tak, że *Manon* opisując to „pospolite ruszenie“, dodaje, że gdyby miała przedstawić w obrazie całą tę świtę mniéj lub więcéj zakochanych, każdego z przyborami jego profesyi, byłby to wcale niezgorszy bigosik. Lecz nakoniec przebiera się żartów, listy stają się poważniejsze, czulsze; nie gwałtowne ani burzliwsze, jednak głębsze i dziwnie upięknione. Przyjaźń jest tu tylko sposobnością, pozorem, drżącą zasłoną, za którą świta jakaś myśl niejasna, trwożliwa i skromna. „Niewiem czemu to przypisać, że teraz nie zawsze jestem zdolną zająć się czemś. To mi się właśnie przydarzyło. Wzięłam pióro żeby pisać, a od niechcenia zrobiłam twój portret; zachowałam

go z podpisem, „portret Zofii“. „Bazgrzę po papierze ilekroć mię głowa boli; piszę co mi tylko do głowy przyjdzie, to ulga dla mojego muzgu“... „Adieu, oczekuję kuzynki, idziemy na spacer; moja wyobraźnia galopuje, pióro mnie odbiega, moje zmysły wzburzone, nogi mnie palą“... Widać tu, że ten spacer jest jakimś ważnym wypadkiem. — Spotyka się dużo ludzi, to może i.... Ale ona przed przyjaciołką, ona przed sobą jeszcze bała się wymówić prawdę. Trzeba nam wyszukać jéj. W pamiętnikach jest wzmianka o niejakim *La Blancherie;* coś niby pisarz, niby filozof, i pani *Roland* mówi o nim z góry, ot jak o kamieniu przy drodze, jak o najzwyklejszéj figurze. A jednak ta figura była od niéj rzeczywiście kochaną; i nic lepiéj od owego pana nie przekonywuje o tém, że w miłości jest to, co sobie życzymy aby tam było, w co ją sami ubierzemy; a sam przedmiot miłości jest w istocie rzeczą mniejszéj wagi: *Manon*, dziewczyna bystra, o pojęciach surowych i prawych wyszczególniła zaraz za pierwszém widzeniem i zajęła się stworzeniem, które było niejako alembikiem wszelkich płaskości, bzdurstw i komunałów, będących właśnie w modzie; i zdawało jéj się, że znalazła w nim najponętniejszy typ swoich marzeń. Ten *La Blancherie* był to „młody mędrzec“, pisał wiersze, zawsze się nosił z projektami, wydał rady moralne dla ojców i matek, słowem pozował w takt do usposobienia czasu i umysłów, i nawdziewał na siebie co tylko mógł z ówczesnéj romantyczności, filozoficzności i sentymentalizmu. Wiemy, że panna nasza marzyła o idealném społeczeństwie *Rousseau'a*, że się oglądała za wzorami *Plutarcha*, toż nic dziwnego, że taki *La Blancherie* mógł się wydać doskonałością zbiorową; że taki imponujący, pewny siebie „mędrzec“, musiał mieć w sercu młodéj dziewczyny, chociażby to miała być kiedyś pani *Roland*, najwięcéj powodzenia, przynajmniéj przy pierwszém ocknięciu się serca. Bo i zkądżeż ona, która była na wskróś naturą, prawdą, szczerością, mogła przejrzeć, że po za świetnym połyskiem jest pustka, czczość i udanie. Wrażenie jakie na niéj zrobił, nie można inaczéj określić jak tylko, że jéj zaimponował, serce truchlało, i zdało mu się, że to miłość, bo miłości było mu potrzebą. Listy do Zofii tchną całém tém wewnętrznem wzburzeniem; dopiski bez wiedzy matki coraz są dłuższe i częstsze; mały pokoik do pisania już nie jest dosyć bezpieczny, mógłby ktoś podejrzeć. „Żadnéj odpowiedzi, chyba że tylko dla mnie będzie zrozumiałą. Adieu, serce mi bije za najmniejszym szelestem, drżę jak złodziej“. Oblega przyjaciołkę listami, potrzebuje teraz być więcéj kochaną, więcéj rozumianą jak kiedykolwiek. Z jakąż niecierpliwością czeka na każdą odpowiedź, z jakimż niepokojem. A jeżeli oczekiwany list nadejdzie podczas obiadu, nie może przeczekać, otwiera go natychmiast, wobec wszystkich, zapomina że nie jest samą, zaczyna płakać; rodzice się uśmiechają, a stara babka odzywa się wtedy: „Jak będziesz mieć męża i dzieci, to tam wnet zniknie ta przyjaźń, i ani wspomniesz o pannie *Cannet*“. Biedna dziewczyna opowiada z uniesieniem te sceny domowe i oczywiście oburza się na takie pojęcia. „Dziwię się, że ludzie mogą uważać przyjaźń jakby jakieś uczucie płoche i chimeryczne. Po większéj części wyobrażają sobie, jakoby najlżejsze uczucie innego rodzaju mogło nadwerężyć a nawet wyrugować przyjaźń, która im się wydaje czemś ostatniém od biedy dla serca, które nic lepszego niema do roboty. Czy sądzisz Zofijo, że n o w a s y t u a c y j a mogłaby zerwać nasz związek?“ Zerwać? to słowo trochę za ostre. Ale dla czegoż ta przyjaźń egzaltuje się właśnie w chwilach, kiedy ma się coś czulszego sobie powierzyć? Dla czegoż w dniu, w którym *Manon* widziała tego, którego nazwać się lęka, kiedy jéj czytał pierwszą korektę jakiegoś dzieła swojego, dla czegoż zakończa tak namiętnie list do przyjaciołki: „Przyjmij łzy wzruszenia i pocałunek ognisty, który kładę na tych ostatnich wierszach“. Po raz pierwszy spotykamy się tu z pocałunkiem, listy pełne są rumieńców. Nie ulega wątpliwości, że uczucie dla *La Blancherie* jeżeli nie zasługuje ściśle na nazwę miłości; jeżeli nie wypełnia w całości wyobrażenia, jakiebyśmy sobie mogli tworzyć o pierwszéj namiętności powstałéj w takiéj duszy; to jednak w każdym razie przekroczyło granice zwykłego zajęcia się kimś. Popierało to wielce sprawę *La Blancherie*, że go *Manon* rzadko widywała i to na krótko. Wyjeżdżał często i kiedy po dłuższéj nieobecności powrócił, zastał *Manon* już sierotą; matka nie dawno umarła.

(Ciąg d. nast.)

Z PRZYRODY.

Gawęda o kaszmirowym szalu.

Komuż nie znane kaszmirowe szale, owe cieniuchne, różnobarwne i drogocenne tkaniny? Wyrób ten należy do rzędu tych płodów, które są jakby pomniki pewnych krajów i okolic.

Jak tusz i herbata chińska, kapelusz „Panama“, szal kaszmirowy stawią nam przed oczy wyobraźni swoją ojczyznę, tak też odwrotnie każda wzmianka np. o Kaszmirze, przypomina nam zaraz szal jego przepyszny. Wyrób ten każdy prawie zna, a przynajmniéj słyszał o nim. Jednak nie każdy się domyśli, że jednym z głównych czynników téj ważnéj produkcyi oprócz wełny z tybetańskiéj kozy, jest woda Kaszmiru. Zaprawdę, dziwne i cudowne są sprawy przyrody — i niezbadana potęga różnych jéj składów. A przecież wiadomo każdemu, że od jakości wody zależy dobroć tylu napojów, np. herbaty i piwa, i tylu wyrobów fabrycznych: jak skór garbowanych, krochmalu itp. Najważniejszy

wszelako wpływ wywiera woda na farbierstwo. i biada przemysłowi, który nie zbadawszy należycie składu wody, postawi farbiernię, garbarnię lub inną fabrykę, w któréj używać jéj musi. Nawet płótna nie wybieli się jednakowo przy każdym strumieniu.

Otóż właśnie piękność szalów kaszmirowych głównie polega na ich kolorycie — a ten zależy od wody doń użytéj.

To pewna, że z pięciu rzek *), które okolicy Kaszmiru nadają miano Penduszab (kraj pięciu porzeczy), jednéj tylko rzeki Dżelum woda, zdolną jest wyczarować cudne barwy Kaszmiru.

Napróżno też usiłował sułtan *Akbar* w Delhi, a *Rundszyt Sing* w Lahore wytworzyć podobne kaszmirskim wyroby. Okazało się, że ani Gangesu, ani Dżumny, ani Rawy woda nie ma własności podobnych tamtéj; to téż 1000 przędzalni urządzonych ogromnym nakładem w Delhi — upadło!...

Aczkolwiek wpływ bezpośredni wody z Dżelum na farbowanie wełny, jest dotąd zagadką, — wszelako nie trudno zrozumieć, że on pochodzi ze składu wody, z zawartości a raczéj rozpuszczenia w niéj pewnych cząstek mineralnych, stanowiących niezaprzeczenie całą wartość każdéj wody.

Każdy strumyczek przepływając wśród różnych pokładów ziemi lub skał, podmywa je, wyługowuje i drobniuchne cząstki łożyska rozpuszczone w swych nurtach] unosi, mieszając je w tysiączny sposób i nasycając niemi swą wodę. Mętna zrazu woda strumieni górskich, składających późniéj rzekę Dżelum, oczyszcza się przepływem przez jezioro Wull — a przecież musi zawierać pomimo swéj przejrzystości i pozornéj czystości pewne mineralia, które tak znakomity wpływ na barwy wywierają.

Najważniejszym składnikiem ślicznego przetworu ręki ludzkiéj, o którym piszemy, jest wełna. Ale nie jest to bynajmniéj, jak mniemano zrazu, wełna owiec z nad źródlisk Bramaputry. Dostarczycielkami jéj są kozy z Tybetu, które li tylko w swojéj ojczyznie tak piękny i cienki puch wydają.

Trzeba też znać Tybet, aby zrozumieć to, cośmy wyżéj powiedzieli, bo wełna tamtejszych kóz — stworzoną jest przez mądrą Opatrzność, stósownie do klimatu i do paszy, jaką się jéj właścicielki żywią. Słynny podróżnik Hooker tak nam skreśla obraz Tybetu: „Tu barwa powierzchni ziemi przypomina wypaloną pustynię, lub wulkaniczną wyspę — a klimat podbiegunowemu podobny. W wędrówkach całego życia mego nie zdarzyło mi się napotkać okolicy dzikszéj, puściejszéj i tak po macoszemu przez przyrodę zagospodarowanéj. Morze, które pochłonęło Sodomę, nie jest tak martwe, jak tutejsze jezioro Czolamu; — i skały Synai, zaprawdę mniéj puste od tych, które graniczą z tybetańskim Aranem".

Tybet jest krajem leżącym najwyżéj ze wszystkich i przeto najwięcéj wystawionym jest na gwałtowne, mroźne wichry. Siedmnaście tysięcy stóp nad poziom morza wzniesiona skalista płaszczyzna, poprzerywana głębokiemi rozpadlinami, otoczona niebotycznemi górami, pokrytemi wiecznym śniegiem — oto Tybet, ojczyzna kóz kaszmirskich.

Ogromne jezioro Czolamu, ograniczone nagiemi prawie skałami, dzikie, martwe, — ciągle bałwaniące się od podmuchu szalonych wichrów — jest jakoby punktem zbornym wszelkich stworzeń, zamieszkujących pustynię tybetańską. Całemi stadami zbiegają się na jego brzegi antylopy, kozy, sarny, zające i bobaki, liżąc łakomo sól wydzielające skały.

Na ubogiéj ziemi tamtejszéj rośnie drobniutka trawa, służąca téj zwierzynie za pokarm. Lato tam skwarne a zima okropna. Hooker powiada, że gdy nieraz w zimie wędrowiec wśród puszczy wesprze się na kiju i stanie, upadnie dopiero na wiosnę po rozmarznięciu pod wpływem promieni słonecznych. Na tych to lodowatych, wściekłemi wichrami gładzonych wzgórzach, wydaje koza tybetańska słynną swą wełnę.

Podobnie jak gęś islandzką ochrania puch drogocenny pod wierzchniemi piórami ukryty od zimna podbiegunowego, — tak skórę kozy tybetańskiéj oprócz długich jedwabistych kędziorów, odziewa miękki. delikatny puch, urągający mrozem i wiatrem Tybetu.

Z tego to właśnie puchu wyrabiają kaszmiry.

Próżne były dotychczas usiłowania naturalistów, aby kozy tybetańskie aklimatyzować w innych świata okolicach, w celu otrzymania ich cennego produktu. Chociaż bowiem niektóre pojedyncze egzemplarze tych zwierząt utrzymały się tu i owdzie przy życiu, — wszelako nigdy nie wydały puchu téj saméj wartości co w swéj ojczyznie. Klimat każdéj okolicy europejskiéj był dla nich za mdły, za łagodny; a więc i wełna za rzadka i za gruba. Wreszcie nigdzie nie znalazły owe aklimatyzowane kozy owéj drobniuchnéj trawki, rosnącéj na słonych wyżynach Tybetu. Wiadomo zaś, że sól jest właśnie pokarmem wpływającym bezpośrednio na działalność skóry zwierzęcia, a zatém i na porost i jakość włosa.

Koza Tybetu większa jest od zwyczajnéj, europejskiéj; a jednak 20 ich składać się musi na materyjał potrzebny do wyrobienia jednego szalu.

W tym celu strzyże się najprzód długi, jedwabisty włos, a następnie dopiero zbiera się delikatny puch za pomocą grzebienia. Czynią to naturalnie na wiosnę, odkąd puszczone kozy hasają w swéj ojczyznie swobodnie przez rok cały i znowu następnéj wiosny pozbyć się muszą drogocennéj odzieży swojéj, płacąc nią stały

*) Dżelum, Czenab, Rawi, Setledżje i Bedja, które połączone wpadają w Indus.

haracz nienasyconemu człowiekowi. W czasie strzyży zbiegają się tłumnie przekupnie kaszmirscy i zakupują wszystką wełnę, którą ładują na wysokonogie owce i przeprowadzają lodowemi wąwozami gór himalajskich do domu. Podróż takiéj karawany trwa miesiąc cały. Zwykle około połowy grudnia wyruszają kupcy owi z Kaszmiru, wiozące do Tybetu w zamian za wełnę wyrobione już szale.

Widać że i w Tybecie taka apatyja i wstręt do przemysłu jak u nas; — my bowiem przedajemy zazwyczaj len i konopie tanio zagranicznym spekulantom, a potém od nich kupujemy drogo płótna i inne przetwory z naszych własnych produktów.

Smutno, że przemysłowców z Kaszmircami, a siebie z Chińczykami porównać nam przyszło!...

Korzystny ten handel częścią za gotówkę, częścią zamienny pomiędzy Tybetem a Kaszmirem trwa już od wieków, i co najdziwniejsze, że jest dotychczas wyłącznie w ręku krajowców. Wielokrotne usiłowania Anglików, by choć w części rękę w nim umaczać, pozostały do dziś dnia bez skutku.

Po sprowadzeniu wełny do Kaszmiru i dokładném wymyciu, umiejętnie ją sortują i blichują za pomocą kwiatu ryżowego, umyślnie na ten cel przyrządzanego. Gdy już pierwotna siwa barwa wełny ustąpi przed świetną białością — bierze się do niéj tkacz; a praca jego smutna, bo i zręczności wielkiéj i cierpliwości nadludzkiéj wymaga — a nie wystarcza na życie! Jakiegoż to podziału pracy — i ile rąk potrzeba, ażeby z wełny już wybielonéj, wytworzyć szal kaszmirski, który jest ozdobą wystaw sklepowych na bulwarze paryskim?!

Najzdolniejszy z robotników komponuje tkaczom wzory, odpowiednie bieżącéj modzie. Zdolność tę jednak nie wielu posiada; tak np. podczas pobytu w Kaszmirze Schönberga, któremu opis wyrabiania szalów zawdzięczamy, było tylko trzech takich wzorzystów w całém mieście. Oni wszakże oznaczają tylko ogólne zarysy deseniu tuszem lub węglem; szczegóły zaś, jak liście, kwiateczki, linijki i drobne floresy dorzucają do powyższych narysów według własnego gustu specyjalni rysownicy, którzy cały deseń wykończają pędzlem i tuszem.

Takich mistrzów liczy Kaszmir znacznie więcéj, i praca ich téż lżejsza, chociaż także talentu wymaga.

Potém przystępuje do dzieła malarz, który wzorom barwy naznacza; — a następnie rachmistrz, obliczający ilość pojedynczych nitek na każdą barwę. Zadanie to nie łatwe i tylko bardzo biegłym przystępne.

Rachmistrz wręcza tkaczowi kartkę, na któréj liczby i kolory nitek przestrzałowych, poprzecznych, są oznaczone. Tu dopiero zaczyna się właściwe tkanie. (Dok. nast.)

STATUTA
wiedeńskiego stowarzyszenia kobiet w celu zarobku i pracy.

I. Cel stowarzyszenia.

§. 1. Stowarzyszenie ma na celu wsparcie czynności gospodarczéj kobiet i dziewcząt, bądź żyjących w rodzinie, bądź od siebie tylko zawisłych.

II. Środki ku osiągnieniu tego celu.

§. 2. *a)* Odczyty i wydawnictwo pism, traktujących o zdolności zarobkowania i o polu do zarobku dla kobiet i dziewcząt;

b) zwalczenie i usuwanie przesądów i przeszkód, stojących pracy kobiecéj na zawadzie;

c) wykształcenie kobiet dla rozmaitych prac na polu handlowém i przemysłowém;

d) staranie się o pracę i zajęcie właściwe dla kobiet, a szczególniéj o założenie kobiecych stowarzyszeń i zakładów ku przysporzaniu dla nich robót odpowiednich;

e) otworzenie zakładów, gdzie wyroby kobiece mają być wystawiane i sprzedawane;

f) założenie kas oszczędności, któreby zarazem pensyje lub chwilową zapomogę udzielać mogły, — jakotéż zakładów, gdzieby w wypadku choroby znalazły kobiety i dziewczęta staranie przytułek

III. Członkowie stowarzyszenia.

§. 3. Do stowarzyszenia przystępować mogą wszystkie dorosłe panny i kobiety dobrze się prowadzące.

Stowarzyszenie rozpoczyna swoje czynności, gdy 30stu członków mieć już będzie.

§. 4. Każden członek stowarzyszenia płaci rocznie najmniéj jeden reński w. a.

Tylko ci, co płacą, są istotnemi członkami i mają prawo głosowania.

§. 5. Zgromadzenie ogólne ma prawo zapraszać na członków honorowych te kobiety lub tych panów, którzy istotne zasługi dla stowarzyszenia położyli.

IV. Posiedzenie ogólne.

§. 6. Posiedzenie ogólne wyobraża całą masę członków stowarzyszenia. Postanowienia jego na zasadzie statutów powzięte, są obowiązujące dla wszystkich członków — nawet nieobecnych. Corocznie w miesiącu marcu lub kwietniu ma się odbyć posiedzenie ogólne zwyczajne. — Nadzwyczajne posiedzenia ogólne zwołuje wydział, ile razy uważa tego potrzebę, lub na żądanie pismienne 20stu członków, z wyłuszczeniem powodów żądania.

§. 7 Wszyscy członkowie stowarzyszenia mają prawo głosowania na posiedzeniu ogólném.

§. 8. Zaproszenie do posiedzeń ogólnych dzieje się przez rozesłanie cyrkularza, ośm dni wcześniéj, w którym oznajmione bywają przedmioty, o których ma się rzecz toczyć.

§. 9. Posiedzenie ogólne ma prawo działania, jeżeli 20stu członków jest obecnych.

§. 10. Posiedzenie ogólne postanawia zwykle większością głosów członków obecnych. — Przegląda i przyjmuje rachunki wydziału, obraduje i postanawia o środkach ku osiągnieniu celów stowarzyszenia i nominuje członków honorowych. — Wybiera z grona swego 13stu członków wydziałowych i 6ciu zastępujących tychże z większością głosów bezwarunkową. — Postanawia o zmianie statutów, lub o rozwiązaniu się stowarzyszenia dwoma trzeciemi głosów członków obecnych. — Oba ostatnie wypadki mają miejsce wtedy, jeżeli wszyscy bez wyjątku członkowie stowarzyszenia byli zaproszeni na posiedzenie ogólne z wyraźném oznajmieniem powodów zgromadzenia.

§. 11. Protokół ma być prowadzony podczas posiedzeń ogólnych, podpisany przez przełożoną, przez dwóch od zgromadzenia w tym celu wybranych członków i przez osoby prowadzące pióro.

V. Prowadzenie interesów stowarzyszenia.

§. 12. Prowadzenie interesów stowarzyszenia, należy do wydziału. Składa on się z 13stu członków rzeczywistych, 6ciu członków zastępujących, wybranych na rok cały na zgromadzeniu ogólném. Członkowie ci po roku znowu mogą być wybrani.

§ 13. Wydział pracuje bezpłatnie.

§. 14. Wydział wybiera z pośród siebie większością głosów przełożoną i zastępczynią przełożonéj.

§. 15. Wydział zgromadza się co 14 dni. — Może on do obrad swoich zaprosić kobiety lub mężczyzn, nie należących do stowarzyszenia, jako znawców, lecz bez prawa głosowania.

§. 16. Do wydziału należy przyjęcie lub odprawianie urzędników, robotników lub służących stowarzyszenia. — Wydział robi zgromadzeniu ogólnemu propozycyje co do środków ku osiągnieniu celów stowarzyszenia, stara się o przeprowadzenie postanowień zgromadzenia ogólnego i zdaje sprawę o ważnych sprawach stow. Wydział działa na zasadzie większości głosów, ma prawo powziąść postanowienia, li tylko, jeżeli jest w pełni zgromadzony, dla tego należy zawsze członków zastępujących zaprosić do posiedzeń

§. 17. Przełożona lub zastępująca ją pani, przedstawia stowarzyszenie na zewnątrz lub wobec rządu.

VI. Majątek stowarzyszenia.

§. 18. Majątek stowarzyszenia składa się z wpłat członków zwyczajnych, z podarków, spuścizny i innych przypadkowych datków, również z dochodów pieniędzy zakładowych. Wydział ma ten majątek pod swoją opieką.

§. 19. Cały majątek stowarzyszenia zostaje własnością tegoż niedotykalną — ani członkowie występujący, ani spadkobiercy członków nie mają prawa rościć sobie do niego jakich pretensyj

VII. Sąd polubowny.

Wszelkie spory, mogące powstać w łonie stowarzyszenia, wykluczone są od drogi sądowéj, i należą przed sąd polubowny, każda strona ma prawo obrać sobie dwóch sędziów, ci obierają sobie przełożonego, i wysłuchawszy obie strony, wydają wyrok, któremu obie strony poddać się muszą

VIII. Rozwiązanie stowarzyszenia.

Jeżeli stowarzyszenie liczy mniéj jak 30stu członków — uważa się tém samém za rozwiązane.

W przypadku rozwiązania, majątek stowarzyszenia przechodzi na dom sierot-dziewcząt w Wiedniu.

ROZMAITOŚCI.

Dla użytku domowego. — Dobre przyrządzanie kawy. Dr. Liebig poucza, że przesączanie, albo naparzanie, nie wyciąga kawy dostatecznie i dużo się traci na ilości, tak jak przez dłuższe gotowanie na zapachu. Zaleca więc postępowanie takie: Surową kawę należy pilnie przebrać, obmyć i osuszyć — palić należy się ją tyle tylko, żeby ziarnka utraciły rogowatą własność — należy to robić na wolnym ogniu inaczéj pierwiastek kafeina nadający kawie woń i smak ulatnia się w wielkich ilościach. Po upaleniu suszyć w cienkich warstwach i dla zupełnego przeszkodzenia ulatnianiu przez pory ziarnek posypać cukrem — łut wystarcza na funt kawy. Trzymać należy w suchém miejscu i mleć niezbyt drobno, na każdą potrzebę osobno. Gotując, należy brać dwie-trzecie miary potrzebnéj i zagotować z wodą aż do zawrzenia — potém wsypuje się resztę i odstawia. Szczypta kleju rybiego osadza bardzo prędko męty i czyści kawę. Gotowy napój powinien mieć brunatną, a nie czarną barwę i być zawsze mętny jak czekolada, rozrzedzona wodą. Mętność ta pochodzi z tłuszczu, który stanowi 12% kawy. Wywar ciemny, z zapachem przypalonym, jest dla największéj części ludzi kawą. Kawa przyrządzona podanym sposobem, nie jest zupełnie rozpalającą — niestrawność pochodzi tylko z przypalonéj kawy.

— Pora kalendarzowa rozpoczęła się już na dobre. Wyszły już: ulubiony **Kalendarz J. Czecha, — Wildta** itd. Niebawem wyjdzie **Kalendarz Rolniczo-przemysłowy** w Wydawnictwie dziel tanich i pożytecznych, mający być zarazem praktyczną książką podręczną.

— Zapowiedziany obraz p. Matejki: **Protestacyja Rejtana**, jest już wystawiony w salach Tow. Naukowego.

— **Loteryja fantowa** na rzecz akademickiego tow. brat. pomocy odbędzie się za współudziałem Sz. Pań w pierwszych dniach grudnia

---

— Znane są dawniejsze sztuczne lalki, automaty, które na fortepijanie grały, a nawet niektóre głosy wydawały. Obecnie zręczność ta doszła nierównie daléj. W muzeum figur woskowych w Paryżu pokazują w piwnicy leżącą na stole głowę jakoby straconego człowieka. Leży ona z przymrużonemi oczami, na przemówienie do niéj, otwiera oczy, odpowiada na zapytania przytomnie i trafnie, a po ustaniu rozmowy, znowu się przechyla i drzymie. Kilkunastu dziennikarzy zwiedzali to cudo i zgodnie je opisują. Domyślają się, że na to zjawisko składały się mechanika, elektryczność i brzuchomowstwo.

— Pewien chłopiec wiejski we Francyi zapadł obecnie powtórnie od kilku lat w głęboki sen, który już trzy tygodnie trwa. Pożywienie wlewają do gardła śpiącemu, który leży spokojnie i ma swobodny oddech

---

Korespondencja „Kaliny“.

Odpowiadając na zapytania Sz. Czytelniczek pisma naszego, donosimy, że księgarnia Fr. Grzybowskiego w Krakowie, utrzymuje **abonament nut** — pod następującemi warunkami: zamieszkali na prowincyi mogą prenumerować rocznie za opłatą 15 Zł. w. a. i półrocznie za opłatą 8 Zł. w. a. — przyczém pierwszym służy prawo zatrzymania nut na własność za 10, drugim za 5 Zł. w. a. jako premię; w obu razach udziela się 12—15 sztuk na raz. Koszta przesyłki ponoszą Abonenci Abonament miesięczny, po 3 sztuk na raz, wynosi 80 c. z kaucyją 3 Zł. w. a.

Pani Mar. Rek. Czarny-Potok. — Pieniądze oddaliśmy do księgarni Grzybowskiego, zkąd Pani żądane utwory do przejrzenia i wyboru otrzyma. Zaprenumerować nuty dla Pani możemy również w téjże księgarni, pod warunkami, które wyżéj podajemy.

Pani J. S. Zgadzamy się zupełnie — niebawem ogłosimy.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Tadeusz Wojciechowski.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. 1866.